

Zbigniew Łagodziński

PRZEISTOCZENIE

Graf_ika

Warszawa 2015

OD AUTORA

Książkę tę powinno się przeczytać dwa razy. Po raz pierwszy, aby podążając za wartką fabułą, przeżyć niesamowitą przygodę w środku syberyjskiej zimy. Po raz drugi zaś, aby lepiej zrozumieć akcję i zagłębić się w proces zmian, które przechodzą bohaterowie.

Po przeczytaniu powieści przez moich przyjaciół, prawie wszyscy oni poprosili mnie o definicję „demona”. Trzy owe stwory przewijają się przez tekst, a ich zadaniem jest kuszenie głównego bohatera, co w konsekwencji ma spowodować go na złą drogę.

Kiedy wyjaśniłem, że demon, jest czymś, co ze względu na własne słabości, sami powołujemy do życia, doznali zawodu. Straciłem kolejne punkty, gdy przyznałem się, że dwaj rywalizujący o wpływy aniołowie, to także tylko moja fantazja – nie mogłem ujawnić, że pewnej nocy, kiedy wracałem do domu, przypadkiem natknąłem się na jednego z nich...

Pozostali bohaterowie są z krwi i kości:

✓ nieobliczalny konstruktor, który zapragnął przelecieć pół świata, aby zrealizować własne wyobrażenie o istocie bytu

✓ silny, zmagający się z losem kowal

✓ ksiądz, który za wszelką cenę stara się posprzątać zakrystię

✓ świniopas – hodowca świń z leśnej głuszy

✓ prymitywny, żywcem wyjęty z poprzedniej epoki milicjant

✓ starowinka – pełna radości, pokory i prostoty mieszkanka Jakucji.

Prawdziwe są również, opanowane obłędem wilki, miecze, pojedynki. W końcu rzeczywisty jest lokalny biznesmen i jego przeszłość.

Jeżeli ktokolwiek z was nie zaznał surowego dotknięcia zimy, smaku parowanych ziemniaków, zapachu samogonu zmieszanego z wonią żywicy ściętych drzew, będzie miał okazję (o ile nieco wyostrzy swoje zmysły) doznać nowych wrażeń: zobaczyć dźwięki i usłyszeć kolory... To nie tylko kwestia wykorzystania potencjału abstrakcyjnego myślenia, ale także odrzucenia od siebie wypracowanych przez życie stereotypów.

W sferze emocji nie znajdziemy w powieści żadnych nowości. Strach, lęki, ekscytacja, radość i smutek. Tak, jak w codziennym życiu. Typowe ludzkie zachowania: chęć zwrócenia na siebie uwagi, zemsta, podjęcie nierównej walki, śpiew, który zastępuje rozmowę, przystosowanie się do warunków, czyli mimikra – rewelacje na miarę pospolitych wiadomości w podrzędnej gazecie. Bardziej fascynujące są niektóre przedmioty: kowadło, samowar, sanie, bukowe narty, czy pomalowane na zielono drzwi w chałupince staruszki. Przedmioty są jednakże tłem akcji, nie warto więc na dłużej się nad nimi zatrzymywać.

Książkę tę powinno się przeczytać dwa razy. Po raz pierwszy, by dostrzec przeistoczenie. Po raz drugi, aby upewnić się, że nic takiego nie nastąpiło...

Życzę przyjemnej lektury

Zbigniew Łagodziński

HOLOMETABOLIA, czyli przeobrażenie zupełne, występuje u owadów, które przechodzą pełen cykl rozwojowy. Z jaja wylęga się pasożytnicza gąsienica, która dzięki swojej nieokiełznanej żarłoczności szybko rośnie. Aby postać larwalna mogła przeistoczyć się w osobnika dojrzałego (imago), musi na jakiś czas zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń. Pokryć ciało chitynową skorupą i przez kolejne dni pościć. Jest to warunek konieczny do powstania pięknego motyla, czy też pracowitej pszczoły.

* * *

Tak naprawdę, to wszystko jest proste. Rzeczy, nawet najbardziej skomplikowane, tworzą się z uporządkowania prymitywnych detali według określonego planu. Zbudowane są z zespołów podstawowych elementów. Ogromna ich liczba odpowiada za złożoność.

STADIUM III

(POCZWARKA)

DWIE POSTACIE pochyliły się nad wagą stojącą na kamiennym stole. Prosty mechanizm nosił ślady wieloletniego używania. Mosiężne szalki pełne były rys i zadrapań. Od spodu pokryły się szaro-zielonym nalotem. Od dawna nikt ich nie czyścił. Urządzenie bowiem nie było ozdobą. Służyło do dokonywania pomiarów.

Strzałka wskazująca wychylenie równoważni tkwiła nieruchomo. Pomiar nie został jeszcze rozpoczęty.

Na początku osiągnięto konsensus co do dwóch warunków:

– w pomieszczeniu panował półmrok – światło raziło postać ubraną w ciemną szatę,

– w pomieszczeniu panowała cisza – dla postaci obleczonej w srebrzystą tunikę było to warunkiem koniecznym do skupienia się.

Kolejna runda zmagania dobiegła końca. Wynik nadal pozostawał nierozstrzygnięty. Po ostatnich, zupełnie nieprzemysłanych decyzjach człowieka, ciężar z lewej strony mógł przeważać znajdujące się na prawej szali dobre uczynki. Srebrzysty za ten stan rzeczy oskarżał siebie. Nie wykorzystał potencjału, którym był obdarzony. Jeżeli okaże się, że zmarnował swoją szansę, ogarnie go rozpacz. To jednak już nie pomoże śmiertelnikowi.

Popielaty także nie czuł się bez winy. Przez ostatnie tygodnie nie zrobił zupełnie nic. Gdyby przynajmniej rozpoczął kuszenie, wygraną miałby w kieszeni. Zamiast zajmować się zadaniem, oddawał się rozrywce. Za chwilę dowie się, czy awans ciągle jeszcze pozostanie w sferze życzeń. Perspektywa o ton ciemniejszego ubioru, a co za tym idzie wejście do świata hazardu, a może i do pałacu któregoś z dyktatorów, ponownie się oddali. Pomimo niepewności, nie okazywał żadnych emocji.

Nadzieja była poza zakresem uczuć, którymi dysponował. Wyrafinowanie nie pozwalało mu na taką rozrzutność energii. Czekał na rezultat, nie myśląc już o tym. Pewnym ruchem zwolnił mechanizm zabezpieczający.

Dwie pary oczu z uwagą rozpoczęło śledzenie metalowego urządzenia. Kołysanie szalek uspokoiło się dopiero po kilku minutach. Osiągnęły stan równowagi. Wskaźnik ustawił się prostopadle do marmurowego blatu. Remis oznaczał tylko jedno – konieczność dogrywki.

Nie mogli pozostawić sprawy samej sobie, choć obydwoj mieli na to ochotę. W miarę upływu czasu czuli się coraz bardziej znużeni. Wizja nagrody żadnej ze stron nie zagrzewała już do walki.

W kolejnej, szóstej rundzie mieli prawo do ustalenia warunków zmagania. Imperium rozumu przeciwko potędze uczuć.

Popielaty jako pierwszy zwrócił uwagę, że człowiek nie jest sam. Przypomniał o gościach zamieszkujących jego umysł. Trzy, uśpione demony. Karłowate, mizerne duchy. Zbyt słabe, aby bez interwencji z zewnątrz, przebić się przez dojrzałą psychikę doświadczonego życiem mężczyzny i zaistnieć. Pomieszczenie wypełniło się skrzeczącym, nieprzyjemnym głosem:

- Zostawmy duszę w spokoju. Niech robi, co chce.
- To uczyniliśmy ostatnio. Bez rezultatu.
- Nie zamierzam wkładać w los śmiertelnika zbyt dużo wysiłku. Nie warto.
- Musimy dokończyć to, co zostało rozpoczęte.
- Działajmy poprzez demony.
- To wymaga głębszego zastanowienia się. One są z obszaru cienia.
- Proponuję, aby nie ingerować w pojedynkę między człowiekiem i zamieszkującymi go pokusami.
- Chciałbyś, abym zaniechał pomocy? – zaciętrzewił się Srebrzysty.

- Jak dotąd jakoś nie kwapiłeś się do działania.
- Może lepiej późno niż wcale?
- Jeśli sądzisz, że nie dasz rady, poddaj się.
- Dokończymy ten pojedynek.
- A więc do dzieła.
- Ustalmy zasady.
- Są określone ograniczeniami materialnego świata.
- Jaką masz propozycję?
- Obudźmy żądze. Wszystkie trzy.
- Niech tak będzie – odpowiedź nadeszła po krótkim wahaniu. – Zrobimy to po kolei. Co trzydzieści dni.
- Zgoda. Przyjmuję warunki. Jeżeli człowiek wyrzuci złych i oczyści wolną wolę, wygrasz.
- A jeśli nie?
- Wystąpią przeciwko swojemu gospodarzowi.
- Aby go zniszczyć.
- To doskonale wyszkolone pasożyty. Nie od razu zabiją swojego żywiciela.
- Sprawdźmy prawdopodobieństwo – powiedział Srebrzysty, wznosząc wzrok.

W tym samym czasie Popielaty wpatrywał się w podłogę. Wynik nie był jednoznaczny: czterdzieści dziewięć do pięćdziesięciu jeden procent szans dla dobrej strony wszechświata. W praktyce, żaden z nich nie miał przewagi. Kampania zostanie rozpoczęta kolejnego dnia rano, dokładnie za osiem godzin, dwanaście minut i sześć sekund...

* * *

AMERYKANIN poczuł się pewniej. Udało mu się pokonać znużenie, które stanowiło największe zagrożenie.

Monotonia jednostajnego, wysokiego dźwięku, przecinającego powietrze śmigła w połączeniu z pozostawianiem wciąż w tej samej pozycji sprawiała, że zaczynał zapadać

w drzemkę. Ciężkie powieki opadały same, a przed oczami stawały senne obrazy. Czuł narastające z każdą chwilą przyjemne odprężenie. Po kolei wyłączane zmysły przestawały pełnić swoje funkcje. Głowa opadała na ramiona. Tułów także zmieniał pozycję, na ogół, przechylając się na lewą stronę. Palce powoli zsuwały się z półkola wolantu, pozostawiając stery bez kontroli. Nagła zmiana położenia przywracała świadomość. Drżącymi rękoma doprowadzał skrzydła do poziomu. Po raz kolejny.

Aby nie zasnąć, mówił sam do siebie. Głośno i rytmicznie. Kiedy nie mógł skupić się na monologu, śpiewał, wypełniając całą kabinę głośnym barytonem. Gdy i to zawodziło, ścisnął w zębach otwarty kartonik z porzeczkowym sokiem. Kiedyś słyszał, że zanim zamkną się powieki, wcześniej puszcza mięśnie żuchwy. Z braku lepszego pomysłu, postanowił to sprawdzić. Kąpiel w czarnym soku miała być ostatecznością.

Lot był spokojny. Brak porywów wiatru i dobra widoczność to dwa, najważniejsze dla bezpiecznej kontynuacji podróży, czynniki. Codziennie pięć do siedmiu godzin w samolocie, podczas których pokonywał blisko osiemset kilometrów. Razem z dłuższymi postojami, w przeciągu miesiąca miał dotrzeć do celu podróży.

Nikt nie zaplanowałby tej wycieczki lepiej. Przed zakończeniem kariery zawodowej pracował jako inżynier w fabryce produkującej samoloty rolnicze. Projektował maszyny, ale także przeprowadzał testy praktyczne. Zawsze, gdy sprawdzał działanie poszczególnych mechanizmów, dopiero po próbie w powietrzu podpisywał dokumenty dopuszczające pojazd do użytku. Musiał mieć pewność, że człowiek będzie panował nad sterami. W tym zakresie nie ufał nikomu.

Wierzył w to, że ma mózg konstruktora. Wyjątkowy. Są mózgi lekarzy, polityków, handlowców, bukmacherów,

matematyków i... konstruktorów. Przekonanie o swoich wyjątkowych możliwościach nie pozwalało mu zaznać spokoju po zakończeniu zawodowej aktywności. Po opatentowaniu nowatorskiego rozwiązania dotyczącego budowy stabilizatorów lotu, znalazło się kilka firm, proponujących zastosowanie wynalazku w lekkich konstrukcjach lotniczych. Więcej nie musiał nic robić. Stał się zamożnym człowiekiem.

Dotychczasowe działania, wpisane w jego życie przez ponad dwadzieścia lat, zakończyły się. Rozum do funkcjonowania potrzebował przeprowadzania ciągłych analiz, czego w zaciszu domowym brakowało. Zaczął starać się o powrót do pracy. Miał zagwarantowany roczny kontrakt, kiedy Helena zachorowała. Wylew i w konsekwencji paraliż części tułowia i kończyn. Załamał się.

Umierała przez pięć miesięcy. Mówiła mu, że nie cierpi. Ostatnie dni swojego życia spędziła w klinice na oddziale intensywnej opieki medycznej. Odeszła cicho. Prawie niezauważalnie. Po śmierci żony nie potrafił uwolnić się od wspomnień. Prześladowały go bezustannie.

Musiał coś ze sobą zrobić. Nie mógł wciąż tylko błąkać się po domu i rozpaczać po stracie ukochanej kobiety. Wyobraźnia przywoływała urok wspólnie spędzonych lat, ale także przedstawiała nieprawdziwe obrazy, będące efektem narastającego z każdą godziną obłędu. Zdawał sobie sprawę, że coraz głębiej brnie w świat urojeń, ale nie miał dość samozaparciu, aby wycofać się z codziennego obrządku.

W końcu przyszedł dzień, w którym dotknął dna. Przegrał walkę z samym sobą. Bez grama alkoholu, narkotyków, czy papierosów. Depresja osiągnęła swoje apogeum ósmego czerwca wczesnym popołudniem.

Podjął decyzję. Nie wiedział tylko jak ma to zrobić. Nie odczuwał lęku. Po dogłębnej analizie różnych sposobów na odebranie sobie życia, ostatecznie doszedł do wniosku, że się zastrzeli.

Przez pewien czas wpatrywał się w odbezpieczoną broń. Jego inżynierski umysł nie brał pod uwagę jakichkolwiek ustępstw w stosunku do umowy, którą zawarł sam ze sobą. Pochodzące ze świadomości polecenie przemieściło się do ośrodków podkorowych, by najkrótszą drogą, przez rdzeń kręgowy i nerwy obwodowe dotrzeć do dłoni ściskającej pistolet. Spust uwolnił sprężynę, która pchnęła iglicę, wbijając ją na dwa milimetry w spłonkę. Proch zamienił się w gwałtownie rozprężający się gaz. Za chwilę, ogromne ciśnienie wypchnie siedmiomilimetrowej średnicy pocisk o zaokrąglonym końcu. Mosiężny, w środku wypełniony ołowiem walec, z wciąż wzrastającą prędkością, w przeciągu milisekund powinien przemierzyć lufę. Kości w części skroniowej czaszki są stosunkowo słabe. Pocisk skończy swoją drogę w miejscu, które wydało rozkaz do jego uwolnienia z gorącej jeszcze łuski. Koło się zamknie.

Obudził się w szpitalu z rozległymi oparzeniami głowy. Przez kolejne tygodnie nie mógł uwierzyć, że nabój był ślepy.

Operacja plastyczna przywróciła mu dawny wygląd. Nad uchem pozostał spory plac, na którym nigdy już nie miały wyrosnąć włosy. To nie było jednak istotne.

Potrzebował opieki i był tego świadomy. Jeśli znów będzie sam, prędzej czy później oszaleje. Na leczenie psychiatryczne zgłosił się dobrowolnie. Dzięki temu miał prawo wyboru. Było to lepsze niż przymusowe skierowanie do nieznanego miejsca. Jeszcze jeden trzeźwy wniosek. Samobójstwo nie wchodziło już w rachubę. Zobowiązał się, że więcej tego nie robi. Nie można ludziom mydlić oczu, tym bardziej szpitalnemu psychologowi.

Prawie rok pobytu w zamkniętym ośrodku przywrócił go światu. Kolejny rok konsultacji i wielogodzinnych zajęć terapeutycznych sprawił, że mógł funkcjonować normalnie. Zmienił miejsce zamieszkania. Rozpoczął nowe życie.

Przez wiele miesięcy szukał sobie zajęcia. Nie potrafił usiedzieć w miejscu.

Miał tylko jeden kryzys. Cierpiał przez kolejne trzy dni. Doznał wewnętrznego oczyszczenia i powiedział „tak” nieznanemu jak do tej pory doświadczeniu. Fascynacji, która go olśniła. Odnalazł swój cel.

* * *

Wokół rozpościerał się piękny widok lasów północnej półkuli. Gdziekolwiek spojrzeł, widział ciemną zieleń masywnych, starych świerków. Aż po horyzont.

Przez ostatnie dwa dni leciał nad obszarami porośniętymi w większości modrzewiami, które zimą, po utracie igieł, były szare i smutne. Szmaragdowy kolor pojawił się wczesnym rankiem. Dodawał otuchy.

Na zewnątrz panował mróz. Temperatura powietrza obniżyła się do minus czterdziestu stopni Celsjusza. Żółte słońce dodawało blasku, zarówno drzewom, jak i niebieskiemu niebu. Pastelowe kolory otaczały pilota ciepłem. Miał dobry humor.

W oddali zauważył białą ścianę mgły. Zamyślił się i zlekceważył niebezpieczeństwo. Dopiero, gdy dotarł do wiszącej nad wierzchołkami drzew chmury zorientował się, że widoczność uległa znacznemu pogorszeniu. Zadarł głowę. Mleczne powietrze wznosiło się na wysokość kilku kilometrów. Tak wysoko nie uniesie samolotu. Pozostawało mu zatem kontynuowanie podróży w trudniejszych warunkach. Przekroczył granicę frontu atmosferycznego. Wyostrzył zmysły. Po kilku minutach oczy

przyzwyczyły się do mniejszej ilości światła. Warunki nie były tak złe, jak wcześniej przypuszczał. Nie zaobserwował niczego, co mogłoby zagrażać spokojnemu lotowi. Niebezpieczeństwo jednak istniało...

Mikroskopijnej wielkości cząstki lodu zaczęły osiadać na skrzydłach i kadłubie maszyny. Do nich przyłączały się kolejne. Zwiększył pułap, ale to niewiele zmieniło.

Samolot z każdą minutą stawał się coraz cięższy. Wszechobecna, nasycona zmarzliną mgła szczelnie otulała ogromny obszar dziewiczych borów. On, niestety, o tym nie wiedział. Miał nadzieję, że wkrótce wleci w strefę wyżu, gdzie słońce rozświetli przestrzeń i stopi utrudniający podróż lód.

W pewnym momencie ciężar powietrznego pojazdu osiągnął poziom krytyczny. Wysokie obroty silnika i maksymalnie zadarte do góry klapy sterowe – to wszystko, co mógł zrobić. Mógł liczyć jeszcze na Tego, który jest autorem praw fizyki panujących zarówno na Ziemi, jak i w całym wszechświecie. Zaczął się modlić, prosząc o wsparcie.

Kilka białych płatów oderwało się od skrzydeł i z furkotem podążyło w kierunku ziemi. Odetchnął, ale nie na długo. Po kwadransie widoczność zmniejszyła się jeszcze bardziej. Kryształki zamarznętej wody z coraz większą mocą przywierały do przeciążonego pojazdu. Kilkadziesiąt metrów pod nim znajdowały się wierzchołki kilkusetletnich drzew. Wystarczy, że zawadzi o jedno z nich. Śmierć równie szybka jak od wyzwolonej z pociśku kuli. Tym razem niechciana.

Razem z maszyną powoli opadał w kierunku ziemi...

* * *

KONSTANTY westchnął. Tyle już razy zabierał się za porządki w zakrystii i jak do tej pory nie udało mu się

tego dokonać. Zawsze wypadło coś nieoczekiwanego. Przedwczesny poród żony drwala, chore świnie, wybuch trotylu w tartaku, pożar w składzie drewna, a ostatnio jego własne niedomaganie – rozstrój żołądka spowodowany zatruciem.

Pomieszczenie wymagało sporego nakładu pracy. Oberwana półka, źle zamocowany wieszak w szafie, w której trzymał liturgiczne stroje, nieszczelne okno i kurz, który zbierał się tu od lat. Podłoga potrzebuje umycia, a zawiasy naoliwienia. Ponadto trzeba także naprawić zamek. Praca na cały dzień, a może i na dwa.

Zaczął od zamiatania. Po kilku zamaszystych ruchach miotła zawisała w powietrzu. Usłyszał dziwny dźwięk. Jakby warkot tnącego zmarznięte powietrze śmigła. Wysokie tony świadczyły o tym, że obroty są bardzo szybkie. Zbyt szybkie. Czuł, że z hałaśliwym mechanizmem coś nie jest w porządku. Odgłosy przypominające ciężki lot olbrzymiego trzmiela naraz przycichły i słyszać już było tylko szum sunących po śniegu sań.

Udał, że to co się dzieje na zewnątrz zupełnie go nie obchodzi. Zaczeka, aż wypełniające okoliczną przestrzeń akordy umilkną i ponownie zabierze się za zamiatanie. Nie ma zamiaru wychylać nosa na mroźne powietrze.

Intruz zbliżył się do terenu kościoła, następnie staranował płot i znieruchomiał. Silnik zgasł. Nastąpiła pełna napięcia cisza.

Na wiosnę będzie zatem nowa robota. Sztachety już dawno były zmurszałe. Z remontem ogrodzenia pogodził się od razu. Gorzej z przerwaniem po raz kolejny sprzętaniem zakrystii. Zaczął głośno narzekać:

— Nie pojmuję, dlaczego nie chcesz, abym w końcu uporządkował izbę, w której przygotowuję się do służenia Tobie. Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał odprawiać Mszę w drelichach. Płot, rozumiem – był stary i wymagał

wstawienia nowych sztachet już w zeszłym roku. Słusznie zrobiłeś, że mi o tym przypomniałeś. Ale dlaczego nie mogę sprzątnąć małego pokoiku, za którym znajduje się ołtarz? Remont okna i szafy, a także konserwację zamka ostatecznie mógłbym zostawić na później. Widzę jednak pilną potrzebę użycia szmaty i szczotki. Ty wiesz, że ja nie lubię tych babskich czynności, ale zdaje się nie to jest przyczyną, z powodu której przerywasz mi pracę.

Zamilkł, by zastanowić się nad własnymi słowami.

— Przykro mi, że stało się to tak nagle, ale nie mogę zagwarantować, że tu wrócę, aby doprowadzić to pomieszczenie do stanu używalności. Za każdym razem dzieje się coś, co nie jest ani miłe, ani przyjemne. Jeśli dajesz mi znak, to go nie rozumiem. Teraz rzucę miotłę w kąt i zobaczę, jaka znów niespodzianka czeka na mnie na podwórzu.

Samolot zatrzymał się nie dalej niż dwa metry od ściany kościoła. Był przechylony na lewe skrzydło, którego koniec tkwił w sporej zaspie. Z ziemią, a właściwie z metrową warstwą pokrywającego ją śniegu, zetknął się dużo wcześniej. Wyrył dość głęboki korytarz. Biały puch wyhamował prędkość maszyny i uchronił świątynię przed poważnym uszkodzeniem. Śnieg spadł w samą porę. Albo też awionetka wylądowała we właściwym czasie i miejscu. Tak czy inaczej, wypadek nie zagroził parafii.

Pilot był nieprzytomny. Rosjanin dość łatwo wyciągnął go z kabiny i położył na wojskowym płaszczu. Po sprawdzeniu kończyn z zadowoleniem stwierdził, że są nienaruszone. Przy braku środków znieczulających, nastawianie kości jest zajęciem mało sympatycznym. Amator powietrznych podróży mógł mieć uszkodzenie kręgosłupa, ale w takim przypadku nikt w promieniu kilkuset kilometrów nie byłby w stanie udzielić mu pomocy.

Klecha ciągnąc za sobą brezentowy płaszcz, dotarł do chaty, w której mieszkał. Pilot mógł mieć co najwyżej

wstrząs mózgu i skręconą kostkę, co nie zmienia faktu, że będzie miał go na głowie przez najbliższe tygodnie. Z drugiej strony zeszłej zimy bardzo odczuwał samotność. Doszedł do wniosku, że jeśli musi z kimś dzielić domostwo, osobę tę wolałby sobie wybrać sam.

— Po co mi to zesłałeś? – wyszeptał smutno. – Czy ten latający pojazd musiał spaść akurat tutaj?

Zawstydził się na samo wspomnienie swoich myśli. Pokornie przeprosił za swoją słabość i brak wiary. Czekał, aż modlitwa wypełni jego wnętrze.

— Jestem przekonany, że masz w tym jakiś cel. Dziękuję zatem, że o mnie jeszcze pamiętasz. Czekając na dzień, w którym to pojmę, będę robił swoje. Przygotuję parafię na Boże Narodzenie jak nigdy dotąd. Obiecuję. Mam wrażenie, że wkrótce wydarzy się coś, co może zupełnie odmienić moje życie, a może nawet życie całej, zagubionej wśród tajgi osady. Proszę, pokaż mi wyraźnie, co mam czynić, kiedy nadejdzie właściwy moment.

Chory jęknął cicho. Konstanty doszedł do wniosku, że niezwłocznie powinien zabrać się za nastawianie skręconej kończyny, dopóki pacjent jest nieprzytomny. Później będzie musiał znieść krzyk bólu. Dzień dostarczył mu już dość wrażeń.

* * *

AMERYKANIN okazał się być niecierpliwym człowiekiem. Już po tygodniu chciał wstać z postania. Przekonywał o tym po angielsku, a także używając „łamanego” rosyjskiego, którego podstaw nauczył się na kursie. Szkolenie, choć było intensywne i trwało przez kolejne dwa semestry, nie dało oczekiwanego rezultatu. Był komunikatywny co do podstawowych zagadnień, lecz wciąż miał problemy ze zrozumieniem słowiańskiego języka.